

Kazimierz Sławiński

PRZYGODY KANONIERA DOLASA

czyli jak rozpętałem II wojnę światową



KAZIMIERZ SŁAWIŃSKI

Przygody Kanoniera Dolasa

agoy.pl

Warszawa 2012

ISBN 978-83-63764-17-3

Copyright © Spadkobiercy Kazimierza Sławińskiego

Copyright © for this edition by AGOY.PL

AGOY.PL Piotr Cholewiński

www.agoy.pl

Wszelkie prawa, włącznie z prawem do reprodukcji tekstów w całości lub części, w jakiegokolwiek formie zastrzeżone.

Spis treści

<i>Przedmowa</i>	4
<i>Rozdział I - w którym poznaję dra Adolfa Dolasa</i>	5
<i>Rozdział II - w którym Adolf Dolas zostaje powołany do wojska</i>	8
<i>Rozdział III - w którym Dolas zostaje pułkownikowym pucybutem</i>	13
<i>Rozdział IV - w którym kanonier Dolas wyrusza na wojnę</i>	22
<i>Rozdział V - w którym jeniec wojenny Dolas uprawia sabotaż przeciwko III Rzeszy</i>	28
<i>Rozdział VI - w którym były jeniec wojenny Dolas zostaje bohaterem</i>	37
<i>Rozdział VII - w którym Dolas wyrusza do Egiptu</i>	41
<i>Rozdział VIII - w którym Dolas zostaje żołnierzem Legii Cudzoziemskiej</i>	46
<i>Rozdział IX - w którym Dolas dostaje się do angielskiej niewoli, a następnie do polskiego więzienia</i>	52
<i>Rozdział X - w którym Dolas zostaje pucybutem włoskiego pułkownika</i>	57
<i>Rozdział XI - w którym Dolas zamienia się w sanitariusza</i>	65
<i>Rozdział XII - w którym Dolas poznaje Florencję</i>	71
<i>Rozdział XIII - w którym Dolas trafia do specjalnego obozu</i>	78
<i>Rozdział XIV - w którym Dolas zostaje bohaterem Ostfrontu</i>	84
<i>Rozdział XV - w którym Dolas dostaje się w ręce partyzantów</i>	88
<i>Rozdział XVI - w którym partyzant Wrona spisuje się „na medal”</i>	91
<i>Rozdział XVII - w którym Dolas otrzymuje do wykonania ważną misję</i>	95
<i>Rozdział XVIII - w którym Dolas podróżuje do Warszawy</i>	102
<i>Rozdział XIX - w którym Dolas zamienia się w kościelnego</i>	106
<i>Rozdział XX - o którym doktor Dolas znów się dostaje do obozu</i>	110
<i>Rozdział XXI - w którym Dolas w dalszym ciągu poszukuje pana Romana</i>	115
<i>Rozdział XXII - w którym Dolas rozpoczyna podróż do Berlina</i>	120
<i>Rozdział XXIII - ze którym Dolas ponownie spotyka Lanckorońskiego</i>	125
<i>Rozdział XXIV - w którym Dolas walczy w Berlinie</i>	129
<i>Zakończenie</i>	134

Przedmowa

W roku 1932 ukończyłem gimnazjum starego typu w Gnieźnie, mieście pretendującym do miana pierwszej stolicy Polski. Gimnazjum to nosiło godne tych aspiracji imię Bolesława Chrobrego i dzieliło się na klasyczne i matematyczno-przyrodnicze.

Poszedłem do wojska, gdyż skończyłem 18 lat, i zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami miałem prawo wyboru broni. Wybrałem, jak nakazywała tradycja, artylerię, do kawalerii zgłaszali się bowiem gimnazjaliści z kierunku klasycznego. Niebawem otrzymałem powołanie do Szkoły Podchorążych Rezerwy we Włodzimierzu Wołyńskim. Stawiłem się tam 15 sierpnia 1932 roku wraz z grupą moich kolegów szkolnych. Od stacji kolejowej do szkoły prowadziła ulica wybrukowana „kocimi łbami”, a wzdłuż niej biegły drewniane chodniki. Była to dla nas egzotyka nie oglądana w Wielkopolsce.

Otrzymałem przydział do 18 baterii. Wśród starszych rekrutów znajdował się doktor historii sztuki, wysoki, lekko garbiący się, wiecznie gubiący okulary w złotej oprawce. Zwracał na siebie uwagę absolutną obojętnością wobec wszystkiego, co go otaczało. Gdy po wojnie, będąc architektem spróbowałem pisania, właśnie ten rekrut-historyk sztuki stał się pierwowzorem Adolfa Dolasa, któremu kazałem przeżywać przeróżne perypetie. Nie były one całkowitą fikcją literacką, ale prawdziwymi przygodami kilku innych osób, „zapożyczonymi” dla mego bohatera. W sumie Dolas istniał w mojej fantazji, lecz przygody jego były autentyczne. Niech mi czytelnicy darują tę nieścisłość.

Autor

Rozdział I

w którym poznaję dra Adolfa Dolasa

Jesienią 1947 roku pracowałem w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Pewnego dnia wezwał mnie szef.

– Kolego – oświadczył z miejsca – musicie koniecznie pojechać do Łyczkowic Śląskich i osobiście zapoznać się ze sprawą Dolasa. Oto akta tej sprawy. Przejrzyjcie i powiedzcie, co o tym sądzicie.

„Sprawa Dolasa” była znana w całym resorcie. W małej dolnośląskiej mieścinie działał niejaki Adolf Dolas, doktor historii sztuki. Z raportów i doniesień władz terenowych oraz różnych organizacji wynikało, że Dolas nigdzie nie pracuje i zajmując willę po autochtonie śląskim trudni się szabrem i nielegalnym handlem. Co innego mówiło pismo prokuratora powiatowego, który umorzył śledztwo przeciwko Dolasowi z braku dowodów winy, zaświadczenie o moralności wydane przez MO i wreszcie zaświadczenie władz wojskowych, stwierdzające, że ob. Dolas jest zdemobilizowanym oficerem II Armii Wojska Polskiego.

Sam natomiast Dolas, załączając odpisy dyplomów, zwracał się do różnych władz terenowych z prośbą o zorganizowanie w Łyczkowicach Śląskich muzeum. Prośbę swą Dolas motywował dużą ilością odnalezionych w Łyczkowicach i okolicy niezwykle wartościowych dzieł sztuki. Istotnie, załączony sp. przedstawiał się imponująco.

Władze terenowe, zajęte w tym czasie dziesiątkami innych ważnych spraw, albo nie odpowiadały na petycje Dolasa, albo zbywały je stwierdzeniem „na razie nie czas na zabezpieczanie starożytności”. Wreszcie sprawa trafiła do ministerstwa. Akta sprawy Dolasa opuściły wytworny i elegancki gabinet ministra z adnotacją: „Dyr. B. – zapoznać się i zreferować”. Z mniej eleganckiego gabinetu dyrektora B. powędrowały z kolei do naczelnika Z., z uwagą: „Naczelnik Z. – zreferować”. A naczelnik Z. przekazał je mnie. Siedziałem w dużym pokoju pod oknem. Nikt mi nie podlegał, nie pozostawało więc nic innego, jak zapoznać się z aktami sprawy Dolasa i pojechać do Łyczkowic.

Z trudem odnalazłem na mapie Łyczkowice Śląskie i przy pomocy sporego sztabu pracowników „Orbisu” ustaliłem trasę. Nie było to takie proste. Po drodze miałem sześć przesiadek, a rozkład był tak ułożony, że gdy przyjechałem do stacji A, aby tam się przesiąść na pociąg do stacji B, to pociąg ten odchodził piętnaście minut wcześniej, a na następny trzeba było czekać dwie lub trzy godziny. Na szczęście pociągi się spóźniały, tak że praktycznie czekałem przeważnie nie dłużej niż półtorej godziny. Warunki podróży nie były wygodne. Pociągi składały się z wagonów towarowych i osobowych trzeciej klasy. Wagony towarowe „honorowano” (tak się wyrażali kolejarze) jako trzecią klasę, a trzecią jako drugą.

Ponieważ mego biletu trzeciej klasy nie chciano „honorować” jako biletu klasy drugiej, jechałem przeważnie wagonami towarowymi. Drugiego dnia podróży dojechałem do Łyczkowic Śląskich. Była to nieduża miejscina położona w pagórkowatej okolicy. Nie stanowiła ważnego obiektu strategicznego, nie została więc zniszczona w czasie działań wojennych.

Po wyjściu z dworca zapytałem o ulicę Le Ronda, przy której mieszkał dr Dolas. Nikt jednakże nie wiedział, gdzie jest taka ulica. Zebrała się spora grupka miejscowych obywateli, zastanawiając się, gdzie może być ulica Le Ronda.

- Przyjechałem z Warszawy, nie znam Łyczkowic – wyjaśniłem.
- A może przyjechał pan do Dolasa, co handluje garnkami? – zapytał jakiś wyrostek.
- Tak – odpowiedziałem.

– To mów pan od razu. Dolasa wszyscy znają.

Na przewodnika zgłosił się starszy pan, jak się później okazało – emerytowany kolejarz.

– Zaraz po wyzwoleniu jedną z ulic nazwano imieniem Le Ronda. Pan wie, to był francuski generał, przewodniczący komisji nadzorującej plebiscyt na Śląsku, wielki przyjaciel Polaków. Po roku ktoś w Radzie Miejskiej zaczął się zastanawiać, co robił generał Le Ronde w czasie okupacji. A może służył Petainowi? Przemianowano więc ulicę Le Ronda na Bulwar Osóbki-Morawskiego. Gdy Osóbka-Morawski przestał pełnić godność premiera, ulicę przemianowano na Aleję Socjalistycznej Brygady Pracy imienia Zofii Kurek-Kociokiewicz.

Kim była Zofia Kurek-Kociokiewicz, nie dowiedziałem się. Zatrzymaliśmy się bowiem przed sporą willą stojącą w ogrodzie, a mój przewodnik oznajmił:

– Jesteśmy na miejscu. Tu mieszka pan Dolas.

Gospodarza spotkałem w hallu zastawionym antycznymi meblami, porcelanowymi wazami, rzeźbami z drzewa i marmuru, prostymi ludowymi ławami, skrzyniami i zydlami. Jednym słowem – muzeum. Podobnie wyglądał sąsiedni pokój. W trzecim natomiast stały ordynarne gipsowe figurki, zwykłe fajansowe miski, półmiski, talerze, a pod ścianami typowe niemieckie, ohydne oleodruki. Trochę mnie to zaszokowało. Gospodarz zaprowadził mnie do gustownie i ze smakiem urządzonego gabinetu, kontrastującego wyraźnie z poprzednim pomieszczeniem. Przyglądałem się uważnie obrazom o niewątpliwiej wartości artystycznej, pięknym stylowym meblom, kilku drewnianym rzeźbom, pamiętającym chyba epokę gotyku.

Tymczasem mój gospodarz mówił. Mówił miłym, nieco matowym głosem, poprawiając co chwila charakterystycznym ruchem okulary w złotej oprawie.

– Jakże się cieszę, że przyjechał nareszcie inspektor z Ministerstwa Kultury. Nareszcie ktoś zainteresuje się moją sprawą. Naturalnie w sposób obiektywny. Opowiedział mi, jak po zakończeniu wojny znalazł się tu, na Śląsku.

– Nie było to przypadkowe – mówił. – W czasie wojny pełniłem funkcję tłumacza w jednej z naszych dywizji zdobywających Berlin. Kiedyś przesłuchiwałem jednego z jeńców. Nazywał się Bomba, był Ślązakiem, zmobilizowanym w ostatniej fazie wojny. Za niemieckich czasów pracował w Łyczkowicach u właściciela miejscowego browaru, jako kustosz prywatnego muzeum. Hitlerowiec był bowiem estetą i zbieraczem dzieł sztuki. W czasie wojny przesłano mu na przechowanie część dzieł sztuki zrabowanych w Polsce. Gdy zjawiłem się tu zaraz po demobilizacji, zająłem tę willę stanowiącą własność Bomby. Część cennych zbiorów została w bezmyślny sposób zniszczona, część po prostu rozszabrowana. Pan wie, jak to było po zakończeniu wojny. Na Ziemi Odzyskane ciągnęło mnóstwo różnych niebieskich ptaków. Polskie władze były dopiero w stadium organizacji. Na głowie miały tysiące przeróżnych spraw i problemów. Zacząłem w terenie szukać zaginionych dzieł sztuki. Czyniłem to przeważnie na własną rękę. Po pewnym czasie zjawił się tu wypuszczony z niewoli Bomba. Bez wahania rzekł się swej willi i wspólnie zabraliśmy się do pracy nad zabezpieczeniem tego, co zostało. W terenie wynajdywaliśmy bezcenne przedmioty, stanowiące ongiś nie tylko własność hitlerowskiego piwowara, ale i byłych właścicieli okolicznych majątków. Znajdowaliśmy zabytki sztuki ludowej. Zaczęły się przeróżne pierepalki. Miejscowi osadnicy nie znając się na wartości tych przedmiotów, nie chcieli ich oddawać. Należało z nimi prowadzić handel wymienny. Na przykład portret tego rycerza z osiemnastego wieku kupiłem za dwa obrazy jeleni na rykowisku, tę oto wspaniałą sewrską wazę, która uroczemu skądinąd wilniakowi służyła do karmienia gęsi, zdobyłem za trzy fajansowe półmiski. Moja działalność stała się dla wielu ludzi solą w oku. Zaczęto pisać na prawo i lewo donosy, że zająłem bezprawnie poniemiecką willę, że wyrzuciłem stąd pana Bombę, że szabruję i handluję. Z kolei ja pisałem petycje do władz. Wyniki tej korespondencji zapewne pan zna. Zwracałem się do konserwatora zabytków we Wrocławiu. Ucieszył się, że historyk sztuki opiekuje się dziełami sztuki w Łyczkowicach. Na razie nie mogę pomóc – mówił – mam tysiące, dosłownie tysiące obiektów, którymi muszę zająć się osobiście. A brak mi ludzi, środków transportowych, pieniędzy, jednym słowem wszystkiego. Niech się pan opiekuje i ratuje, co się da. Zwróciłem się

więc do ministra Kultury i Sztuki.

Dalsze losy petycji drą Dolasa były mi znane. Zaczął mnie oprowadzać po willi. Dosłownie od piwnic po strych była zavalona muzealnymi zabytkami. Wspaniały zbiór, naprawdę godny Muzeum Ziemi Łyczkowieckiej. Gospodarz spojrział na zegarek. Dochodziła godzina trzecia po południu.

– Zaparzę kawę. Za dwie godziny wróci z pracy żona i przygotuje nam kolację. Ma pan czas. Przed północą i tak pan stąd nie wyjedzie.

Zostawił mnie w gabinecie samego. Przyglądałem się uważnie postaci wychodzącego gospodarza. Był to mężczyzna na oko lat około trzydziestu. Dobrze i silnie zbudowany, lecz lekko przygarbiony, o sylwetce i sposobie bycia raczej intelektualisty niż wojskowego. Nosił jednak stary wojskowy mundur bez dystynkcji, lewą pierś ozdabiał Krzyż Walecznych.

„Za co on otrzymał ten krzyż? – rozmyślałem. – Był tłumaczem w sztabie. Pewnie tam się wystarał o odznaczenie. W sztabach bywa różnie”.

Gdy wrócił i postawił na stoliku dwie filiżanki mocnej kawy, wyczuł na sobie mój pytający wzrok.

– Interesuje pana mój Krzyż. Niezbyt do mnie pasuje. To bardzo długa i pouczająca historia. Jeśli pan chce, mogę ją opowiedzieć.

– Bardzo proszę, mam przecież czas.

– Dobrze. Muszę zacząć od początku. Urodziłem się w Katowicach. Mój ojciec był adwokatem...

Rozdział II

w którym Adolf Dolas zostaje powołany do wojska

Każdy bohater musi się urodzić. Urodził się więc i nasz. Po urodzeniu następuje okres dzieciństwa, w czasie którego dziecko w oczach matki jest cudowne. Potem idzie do szkoły i naturalnie źle się uczy. Przynajmniej gorzej od swego ojca. W okresie wczesnej młodości występują pierwsze zawodowe zainteresowania. Jeden chłopiec chce zostać maszynistą wąskotorowego parowozu, inny góraliem lub profesorem. Tym ostatnim chciał właśnie koniecznie zostać Dolas. W tym czasie zaczynają się też pojawiać pierwsze tzw. hobby. Jeden kopie z pasją piłkę, inny ugania się po świecie rowerem. Nasz bohater w tym czasie zaczął marzyć o podróżach. Jednakże aby podróżować, należy znać języki. Gdy zdał maturę, z miejsca wstąpił na Wydział Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, ucząc się jednocześnie języków obcych.

Gdy jego rówieśnicy zastanawiali się nad tematem pracy magisterskiej, Dolas kończył pracę doktorską. Miał już za sobą kilka zagranicznych podróży. Znał świetnie niemiecki, angielski i francuski, uczył się włoskiego i hiszpańskiego. Marzył o podróży do Włoch i Hiszpanii. Nade wszystko nęcił go jednak Daleki Wschód.

Plany te musiał jednak odłożyć ad acta. Komisja lekarska uznała go za zdolnego do służby wojskowej. Nic zresztą dziwnego, chłop, był zdrowy, rosły, wprawdzie miał słaby wzrok, ale to nikomu nie przeszkadza polec w obronie Ojczyzny. Ojczyzna więc upomniała się pewnego sierpniowego słonecznego popołudnia 1938 roku o swego wiernego syna. Doktor Dolas otrzymał wezwanie do odbycia służby wojskowej, którą mu parokrotnie odraczano.

Dolasowi-intelektualiście było zupełnie obojętne, czy zostanie ułanem, huzarem czy też marynarzem łodzi podwodnej. Z wezwania wynikało, że zostanie artylerzystą, miał się bowiem zameldować w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii.

Gdy młody doktor podzielił się tą nowiną ze swoim rodzicielem, ten pokiwał głową, popatrzył w niebieskie wiecznie zamyślane oczy syna i stwierdził:

– Wiem, synu, że wojsko jest nie dla ciebie. Ale cóż robić? Odbędziesz służbę wojskową i wrócisz do pracy naukowej. Staraj się uczciwie wykonywać swe obowiązki i być dobrym żołnierzem. Czasy są niepewne – dodał po chwili, mając na myśli sąsiadów spoza bliskiej granicy.

Tu Dolas-senior powinien nieznacznie otrzeć łzę z oka, podejść do mahoniowego biurka, wyjąć z szuflady pamiątkę po dziadku, co to brał udział w powstaniu i wręczyć ją synowi. Następnie wyjść na ganek modrzewiowego dworku, ucałować syna, przeżegnać znakiem krzyża i stać, aż pierwotny zniknie na zakręcie drogi wysadzonej lipami. Było to jednak niemożliwe. Papa Dolas nie brał udziału w żadnym powstaniu, a działalność bojowa Dolasa-ojca ograniczała się do dyskretnego opuszczenia w roku 1915 szeregów armii Wilhelma i spędzenia resztek dni wojennej zawieruchy na prowansalskiej farmie.

Gdy nadszedł więc dzień zameldowania się w szkole, Dolas pożegnał się z rodzicielem, ujął w rękę walizczkę i pojechał tramwajem na stację kolejową.

Po długiej i męczącej podróży kandydat na artylerzystę stanął przed bramą pomalowaną w białoczerwone pasy i ozdobioną napisem: Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii.

Wartownik z karabinem sprawdzał karty powołania, kierując przybyłych do oficera służbowego.

Szkoła miała opinię twardej, takiej, gdzie to zdrowo dają w kuper, ale za to z najgorszej oferny potrafią zrobić gwardzystę.

O tym wszystkim Dolas wiedział od kolegów mających za sobą odbytą służbę wojskową oraz od dorożkarza wiozącego go rozklekotanym wehikułem z dworca kolejowego.

– A najgorsza to jest bateria kapitana Lasockiego. Żeby się tam tylko pan podchorąży nie dostał – ostrzegał dryndziarz.

Dolas otrzymał naturalnie przydział do baterii kapitana Lasockiego. Specjalnie się tym nie przejął.

„Dziewięć miesięcy jakoś tu wytrzymam – rozmyślał. – Potem dwa miesiące w pułku i jesienią 1939 roku wrócę do cywila. Będę musiał pomyśleć o wyjeździe do Włoch”.

Tak to sobie rozmyślając nasz wojak znalazł się w rejonie baterii kapitana Lasockiego. Podoficer gospodarczy, plutonowy Gorzko, obdarował go stosem niezbędnych sort mundurowych i przydzielił łóżko, na którym miał od tego dnia sypiać.

Dolas przedstawił się sąsiadowi z lewej strony, młodemu, uroczeniu blondynkowi, a potem sąsiadowi z prawej, potężnemu, świetnie zbudowanemu, czarnemu dryblasowi.

– Lanckoroński jestem – usłyszał.

Dolas patrzył z zazdrością na osobnika noszącego historyczne nazwisko. „Ten będzie się czuł w mundurze jak ryba w wodzie”.

– Tu panuje zwyczaj mówienia sobie per ty – wywodził Lanckoroński, wkładając drelichową bluzę mundurową – szanujmy więc tradycję. Jak tobie na imię?

– Adolf.

– Dość dziwne imię. Ale ja mam jeszcze dziwniejsze: Izaak. Pewnie sądzisz, że jestem potomkiem wielkich Lanckorońskich? Nieprawda. Mój pradziadek był pachciarzem u Sanguszków. Któryś z Sanguszków, pokłóciwszy się z Lanckorońskim, zrobił mu na złość, nazywając starego Żyda Lanckorońskim. W moich papierach figuruje więc wyznanie mojżeszowe. Nie wróży mi to tutaj nic dobrego. Na pewno nasi dowódcy nie potrafią sobie wyobrazić hetmana Lanckorońskiego wyznania mojżeszowego.

Dolasa nie interesowało, czy Izaak Lanckoroński jest czy nie jest skoligacony z wielkimi Lanckorońskimi, jak również, czy jest on wyznania mojżeszowego, czy też mahometańskiego. Zaprzyjaźnił się z nim, przekonawszy się, że jest to inteligentny człowiek. Obaj mieli jednakowy pogląd na służbę wojskową. Uważali, że jest ona obowiązkiem każdego mężczyzny, że przybywszy tu muszą posiadać pewien niezbędny zapas wiedzy wojskowej.

Dlaczego jednak pobieranie tej wiedzy ma się odbywać wśród wrzasków, wymysłów i tak zwanego „cukania”? Dlaczego pojedyncza słomka, która wypadła z siennika, musi być koniecznie furą gnoju, wynoszoną uroczyście w nocy na kocu przez cały działon?

Tymczasem szef baterii, starszy ogniomistrz Kaczmarczyk, chodząc pomiędzy działonami, wypowiadał parę razy dziennie swoje credo:

– U mnie w baterii to grunt porządek i dyscyplina. Wy jesteście zamazane rekruty, ale ja z was zrobię żołnierzy, jakem podoficer spod Werduna. I nie próbujcie mi się tu stawiać, bo takiemu nogi wrosną w tyłek.

„Wodza” baterii, mocno już podtatusiałego kapitana Lasockiego, zobaczyli dopiero po paru dniach, gdy już jako tako potrafili stać w dwuseregach.

Kapitan, odebrawszy raport, przeszedł przed frontem baterii i zatrzymawszy się przemawiał ze śpiewnym, wschodnim akcentem:

– Tak wy tu przyszli, aby zostać żołnierzami. I znaczy się, kto mi będzie brykał i nie będzie się uczył – to ja tego strzelę w kuper i won ze szkoły.

Po tych przemówieniach oficerowie i podoficerowie zabrali się do robienia v z kupy niesfornych cywili – wojska, ba! można powiedzieć gwardii. I to od wczesnego świtu. Natychmiast po pobudce pędzili do umywalni, a potem na gimnastykę. Zaczynało się od marszu ze śpiewem:

Marszałek Smigły-Rydz,
Nasz drogi, dzielny Wódz,